

VALENTIN  
M U S S O

KRAĞ  
NIEWINNYCH



# PROLOG

Ubrany w bermudy i podkoszulek zadaje ciosy jeden za drugim, nie dając bijącemu szybko sercu ani chwili wytchnienia. Jego pięści poruszają się z tą samą regularnością co wskazówki zegara, chociaż tempo jest nieporównywalnie szybsze. Podwieszona skórzana gruszka bokserska wibruje tak szybko, że nie można wyraźnie dostrzec, w którym momencie zaczyna się i kiedy kończy się jej ruch.

Uderza z wściekłością. To jedyny sposób, jaki zna, żeby skutecznie oczyścić umysł z negatywnych myśli. Kiedy dzięki temu rozładowuje napięcie, myśli wyłącznie o celu, o wyimaginowanym przeciwniku, nad którym musi się teraz pastwić.

Nastolatek zatrzymuje się i długo łapie oddech. Jego podkoszulek jest mokry, a pod pachami utworzyły się wielkie kręgi potu. Przez chwilę jego wzrok błądzi po olbrzymiej i pustej teraz sali gimnastycznej. O tej porze, w piątek wieczorem, nigdy nie ma tu wielu uczniów, ponieważ większość z nich, zaraz po zajęciach, zdążyła już wyjechać na weekend. Zdarzało mu się jedynie spotkać kilku mieszkających w tutejszym internacie

licealistów, którzy korzystali z tego spokojnego czasu pod koniec tygodnia, żeby potrenować i przynajmniej na chwilę oderwać się od podręczników do matematyki lub literatury.

Zawsze potrafił znaleźć czas, by wyżyć się na gruszcze bokserkiej albo na worku treningowym. Chyba że wychodził na zewnątrz, żeby pobiegać wzdłuż promenady.

Skrajnie wyczerpany chłopak ściąga rękawice bokserkie i uderza po raz ostatni w kiwający się powoli na srebrnych łańcuchach worek, który przypomina wystawionego na widok publiczny wisielca. Ociera czoło rękawnikiem i kieruje swe kroki do szatni.

Od kilku minut, ukryty w ciemnym zakamarku tuż przy wejściu do sali gimnastycznej, ON obserwuje go. ON patrzył, jak walczy, jak się poci, jak dyszy, cierpi, rzezi, jak uderza coraz silniej, chociaż wydawało się, że jest już na skraju wyczerpania, jak zadaje ciosy z coraz większym impetem, kiedy można było sądzić, że już za chwilę przewróci się ze zmęczenia. ON odczekał chwilę, po czym przeszedł w milczeniu przez salę tonącą w świetle podwieszonych pod sufitem potężnych jarzeniówek. Jego kroki prześlizgnęły się delikatnie po parkiecie z jasnego drewna. ON wszedł teraz w słabo oświetlony korytarz prowadzący do pryszniców i zatrzymał się na chwilę na progu męskiej szatni. Przez uchylone drzwi usłyszał lejącą się z prysznicia wodę. Wciągnął głęboko powietrze i wszedł do środka.

W szatni, wzdłuż ścian, na podłodze pokrytej wielkimi białymi i niebieskimi płytkami, ustawione są drewniane ławeczki.

Nie ma nikogo.

Na pierwszej ławce po prawej leży sportowa torba Adidasa przykryta w połowie rękawnikiem. Na podłodze para starych tenisówek i zabrudzonych na piętach skarpetek. Po lewej stronie

wybite w ścianie przejście prowadzące pod prysznic.

ON wolno podchodzi kilka kroków, schyla głowę i widzi go.

Nagie ciało chłopca stojącego tyłem w wielkim, wyłożonym kafelkami pomieszczeniu spryskiwane jest przez silny strumień wody.

Poza nim nie ma żywej duszy. Doskonale.

Chłopak najwyraźniej często bywa w salach sportowych. Ma szerokie ramiona: mięśnie czworoboczny i naramienny są rozbudowane i mocne, ale wciąż harmonijne. Prosty i wyraźnie zarysowany kręgosłup nadaje mu ładny wygląd.

Zmywa z siebie wysiłek i wydaje się, że teraz, po wycieńczającym treningu, oddaje się zarówno fizycznemu, jak i psychicznemu oczyszczeniu. Stojąc pod gorącym strumieniem lejącej się z głośnym szumem wody i nie myśląc o niczym, nie jest w stanie wyczuć w pobliżu czyjejkolwiek obecności.

ON obserwuje go w milczeniu, sięga do kieszeni i wyciąga z niej nóż myśliwski z gładką rękojeścią i piłką po jednej stronie ostrza. Przez chwilę bawi się bronią o masywnej i nierdzewnej rękojeści, po czym chowa ją do kieszeni. To nie jest jeszcze ten moment. Nie, powinno to wyglądać zupełnie inaczej.

Bez wahania wycofuje się tą samą drogą, którą tu przyszedł, po czym wymyka się z budynku przez główną bramę.

\*

Chłopak wychodzi z sali gimnastycznej z przewieszoną przez ramię torbą.

Na zewnątrz jest już prawie całkiem ciemno. Oświetlenie w liceum ograniczono do minimum i widać teraz jedynie zarys budynków wycięty na tle ciemnoniebieskiego nieba. Chłopak

wkłada ręce do kieszeni kurtki. Nie jest jeszcze bardzo zimno, a jednak czuje, że chłód szczypie go w palce. Sala gimnastyczna otoczona jest murem okalającym całe liceum, trzeba więc pójść schodami, a potem przejść długimi korytarzami, żeby znaleźć się wreszcie na poziomie, na którym jest wejście do liceum.

Chłopak wspina się skokami, pokonując po kilka stopni kamiennych schodów: nogi wciąż ma trochę ciężkie po treningu, ale nie czuje się już teraz wycieńczony. Pysznic dobrze mu zrobił, wzmocnił go. Idzie teraz krążankiem, wzdłuż balustrady z kutego żelaza. Kilkadziesiąt metrów dalej, od strony głównego wejścia, ukazuje się jego oczom wieża z zegarem nadająca tej szkole tak charakterystyczny wygląd.

Miał wystarczająco dużo czasu, żeby zrozumieć, co się z nim dzieje.

Najpierw poczuł jakby promieniujący ból w dole pleców. Ale nie był to ból nie do zniesienia, zupełnie nie... Tak jakby ciepło rozchodziło się na wszystkie strony, tak jak otwiera się korona kwiatu. Przez chwilę myślał, że może to jakiś uraz mięśnia. Chłopak odwraca się, ale to, co widzi, sprawia, że zamiera z przerażenia.

Ogromny cień o porażającej sile zadaje mu potężny cios nożem. Ta postać jest teraz tak blisko, że czuje jej zapach i oddech. Ma wrażenie, że dyszy nad nim oszalały z wściekłości byk, jakaś bestia, która wyłoniła się prosto z najgorszych koszmarów. Czuje, że nogi się pod nim uginają, ale cień podtrzymuje go, nie pozwalając mu upaść. Jednak mocne ramię nie jest w żadnym wypadku ramieniem przyjaciela, lecz raczej tym, które przytrzymuje tonącego pod powierzchnią wody.

Postać wpatruje się w niego, on jednak nie jest w stanie dostrzec rysów przeciwnika. Widzi już tylko twarz, odrażającą

i ciemną.

Czuje, jak dosięga go drugi cios, tym razem prosto w wątrobę. Krew tryska na wszystkie strony, jego ciało osuwa się na ziemię, zbyt ciężkie jak na opuszczające go gwałtownie siły. Cień jednak nie ma zamiaru na tym poprzestać, chwytając nastolatka pod pachy i przerzuca go przez balustradę. Chłopak chwieje się jak nadburcie statku. Upadek jest gwałtowny. Spadając na ziemię, sześć albo siedem metrów niżej, umęczone ciało wydaje potworny głuchy odgłos.

Cień pochyła się nad balustradą, patrzy przez chwilę na trupa i znika w czarnej jak heban nocy.

# 1

## *Cauterets, departament Hautes-Pyrénées*

– Odnaleziono jego ciało.

Camille stanęła w drzwiach sklepu i wypowiedziała te przerażające słowa, gdy akurat wieszalem na ścianie naprzeciw kontuaru zdjęcie kozicy pirenejskiej na tle nieskazitelnie białego śniegu. Zalana łzami, z twarzą wykrzywioną tym rozpoznawalnym na pierwszy rzut oka bólem, który pojawia się wtedy, gdy stracimy kogoś bliskiego. Tego rodzaju cierpienia nie można udawać. Wydaje mi się, że w pierwszej chwili chyba nawet nie zareagowałem, zachowałem się tak, jakby przekazano mi oczywistą wiadomość, której od dawna powinienem się był spodziewać.

Było kilka minut po jedenastej. Pamiętam dokładnie, ponieważ całe przedpołudnie spędziłem na wyczekiwaniu, nudząc się niemiłosiernie i wykonując czynności błahie i jałowe. Co jednak innego mogłem robić, jeśli nie starać się, dzięki pracy, uciec od gnębiącego mnie od dwóch dni niepokoju? Jak zwykle więc, tuż przed godziną dziesiątą, otworzyłem swój zakład, co i tak było wczesną porą w takim miasteczku jak Cauterets, gdzie turyści, nieliczni o tej porze roku, zapewne dopiero co wstali z łóżek.

Graham Greene napisał kiedyś w jednej ze swoich powieści – nie pytajcie mnie nawet o jej tytuł, czytałem ją bowiem bardzo dawno temu – *Opowiadana historia nie ma ani początku, ani końca, i to my wybieramy dla niej arbitralnie punkt wyjścia, odnajdując go w naszym doświadczeniu*. Powyższe zdanie mocno zapadło mi w pamięć. Zapewne mogłem wybrać inny moment, żeby rozpocząć swoją opowieść. Mogłem przecież spróbować pójść w górę rzeki wydarzeń, które doprowadziły nas do miejsca, w którym teraz się znaleźliśmy.

Jednakże w pewnym sensie zaangażowałem się w tę historię tak naprawdę dopiero wtedy, gdy usłyszałem tych kilka słów wypowiedzianych przez Camille: „Odnaleziono jego ciało”.

Cauterets jest gminą położoną w departamencie Hautes-Pyrénées, na skraju parku narodowego: niewielkie miasteczko, usytuowane w głębi dzikiej doliny, jest ostatnią maleńką zamieszkaną przez ludzi wysepką na drodze prowadzącej do wysokich szczytów Pirenejów. Życie w Cauterets, znanym uzdrowisku i ośrodku narciarskim, niemal w całości koncentruje się wzdłuż długiej i stromej ulicy, przy której znajdują się butiki z nikomu niepotrzebnymi pamiątkami, sklepy z produktami lokalnymi albo wreszcie wypożyczalnie sprzętu do wspinaczki górskiej. Ta wydająca się nie mieć końca ulica skręca lekko w prawo, prowadząc do rozległego placu z tradycyjnym ratuszem miejskim, fontanną i ławeczkami. Po lewej stronie, nieopodal biura informacji turystycznej, jest sklep, którego nie sposób nie zauważyć. Na białym tle napisano wielkimi niebieskimi literami:

VINCENT NIMIER  
FOTOGRAF



Gdyby ciekawość skłoniła was do przekroczenia progu tego zakładu, stanęlibyście oko w oko z dosyć wysokim mężczyzną w wieku trzydziestu siedmiu lat, o ciemnych włosach i brązowych oczach, które przy sprzyjającym świetle nabierają lekko zielonego odcienia. Ten mężczyzna nieczęsto się uśmiecha. To właśnie ja.

Niedawno temu minęły trzy lata, jak zamieszkałem w Cauterets. Przyznaję już na wstępie, że prowadzenie sklepu nie było nigdy zajęciem, które jakoś szczególnie by mnie pasjonowało. Ochoczo więc powierzałem to zadanie dziewczynie, którą zatrudniłem, posiadającej, w przeciwieństwie do mnie, wrodzony dar nawiązywania kontaktu z klientami. Ja natomiast wolałem wyruszać samotnie na łono natury, z zawieszonym na szyi nikonem albo leicą, bądź spędzać czas w ciemni, wywołując zdjęcia techniką tradycyjną. Nigdy nie uważałem się za artystę. Co najwyżej lubiłem fotografię, a pasja ta przerodziła się stosunkowo późno w pracę zawodową. Szczerze mówiąc, otworzyłem ten zakład, gdy tylko zjawiłem się w Cauterets, po wielu latach poszukiwań...

Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu interes szybko się rozkręcił, dając mi to, czego najbardziej potrzebowałem, a więc spokój i pewien rodzaj samotności. Nikt nie mówił mi tu, co i jak powinienem robić. Żadnego szefa na karku, który wskazywałby mi jedyną właściwą drogę i bezustannie mnie pouczał. To akurat miałem już na szczęście za sobą.

Tego ranka słowa wypowiedziane przez Camille nagle zburzyły harmonię, której odnalezienie zajęło mi tak wiele czasu.

I wciąż nie mogło jakoś dotrzeć do mojej świadomości, że kiedy mówi o „ciele”, które odnaleziono, chodzi o ciało mojego brata.

## 2

– Proszę, napij się, to ci dobrze zrobi.

Siadając w mocno już przetartym skórzanym fotelu, podałem Camille filiżankę herbaty ziołowej. Młoda kobieta wzięła ją do rąk, nie protestując, wycieńczona już na samą myśl, że mogłaby mi się sprzeciwić. Dużo dzisiaj płakała, oczy miała spuchnięte od ciągłego ich ocierania, ale mimo to nic nie straciła ze swej naturalnej urody, którą dostrzegłem, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy.

Niezbyt wysoka i proporcjonalnie zbudowana, była wysportowana i wyglądała na osobę dynamiczną, która z trudem potrafi usiedzieć w jednym miejscu. Włosy ciemnoblond, opadające do ramion, okalały jej delikatną i pełną uroku twarz. Oczy w intensywnym niebieskim kolorze były może trochę za duże w stosunku do nosa, który wyglądał jak nosek dziecka. Daleko jej było do kanonu piękna z kolorowych czasopism, ale już od pierwszego spojrzenia potrafiła zwrócić na siebie uwagę. Mój brat nie pozostał nieczuły na jej wdzięk i doskonale rozumiałem, że uczynił wszystko, żeby być razem z nią.

Zegar w odtwarzaczu DVD, na który rzuciłem pośpiesznie okiem, wskazywał godzinę 22.40. W Cauterets zapadła zimna

noc. Camille spędziła cały wieczór w moim mieszkaniu. To, że byliśmy razem w tych trudnych chwilach, wydawało nam się czymś oczywistym, zgodziła się zjeść ze mną wspólnie kolację, chociaż i tak prawie nic nie tknęła z talerza. Już od ponad roku zajmowałem mieszkanie na drugim piętrze olbrzymiego domu w stylu góralskim, obłożonego bladoniebieskimi deskami, który wznosił się zaledwie sto metrów od centrum miasteczka, ale dawał swoim mieszkańcom poczucie względnego odosobnienia.

Jeśli chodzi o lokatorów domu, mieszkałem tam zasadniczo tylko ja, wieczny kawaler, oraz właścicielka posesji, pani Bordenave, starsza kobieta, która zajmowała pomieszczenia na parterze. Dom składał się z trzech dużych niezależnych mieszkań. Pani Bordenave, która na dobrą sprawę nie potrzebowała pieniędzy, wynajmowała pokoje tylko wtedy, gdy przychodziła jej na to ochota: najwyraźniej w jakiś sposób spodobałem się jej, ponieważ bez żadnych trudności i za niewielką opłatą pozostawiła do mojej wyłącznej dyspozycji całe piętro.

Od kilku minut w pokoju panowała ponura cisza. Nie bardzo wiedziałem, czego się teraz spodziewać, kiedy ta najgorsza rzecz naprawdę się stała. Wstaję z fotela i patrzę przez okno. Po prawej stronie rozciąga się długa aleja, która w ciemnościach jaśnieje jak świetlisty wąż. W oddali, w półmroku, dostrzec można zarys starej karuzeli z uśpionymi drewnianymi konikami.

Odwracam się w stronę Camille. Bardzo chciałbym znaleźć słowa pocieszenia, lecz nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa. Bo, prawdę mówiąc, co miałbym właściwie powiedzieć, skoro po tylu godzinach, które minęły od chwili, gdy ta wiadomość do mnie dotarła, wciąż nie mogę w to uwierzyć?

Gdybym miał zrelacjonować te wydarzenia w obiektywny sposób, tak jak w gazetach, powiedziałbym, że ciało Raphaëla Nimiera zostało odnalezione po godzinie dziesiątej rano, zwłoki leżały pod gołym niebem na skalnej półce, w odległości ponad półtorej godziny drogi pieszo od Cauterets, a poszukiwano go jako zaginionego od dwóch dni. Był współwłaścicielem sklepu i wypożyczalni sprzętu narciarskiego i wysokogórskiego, sam często chodził po górach i niejednokrotnie zdarzało mu się spędzić na takiej wędrówce cały dzień.

Wyruszył z domu we wtorek o świcie. Według Camille miał zamiar udać się na krótki spacer albo w stronę Cambasque, rozległej, poprzecinanej dolinami łąki, przez którą płynie rzeka Gave, albo pójść w kierunku Fruitière, gęsto zalesionej części parku narodowego. Teraz wiadomo już było, że najpierw dotarł do dawnych term nieopodal miasteczka, a potem wyruszył dalej drogą prowadzącą na przełęcz Lisey. Nie wrócił w południe, tak jak zamierzał, co zdziwiło nieco Camille, chociaż wtedy jeszcze nie niepokoiła się o niego, gdyż Raphaël nigdy nie był wzorem punktualności. Jednak minął cały dzień, a mój brat nie pojawił się w domu, jego komórka nie odpowiadała, powoli więc niezadowolenie spowodowane jego nieobecnością zaczynało coraz bardziej ustępować miejsca lękowi.

Owszem, Raphaël bardzo dobrze znał góry i zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, na które mógłby się niepotrzebnie narazić przeciętny turysta. Zresztą ta pora roku nie była szczególnie niebezpieczna: śnieg w wielu miejscach dawno już stopniał, chociaż w niektórych zakątkach utrzymywał się aż do maja. Każdemu jednak, nawet doświadczonemu alpiniście, może się zdarzyć wypadek.

Wieczorem zawiadomiliśmy z Camille żandarmerię, wiedząc oczywiście doskonale, że żadne poważne poszukiwania

nie zostaną podjęte przed nastaniem ranka.

Musieliśmy przekazać żandarmom zdjęcia mojego brata i udzielić im też różnych informacji na jego temat, a więc jaki jest jego stan cywilny, rysopis, opisaliśmy ubranie, jakie miał wtedy na sobie, dokładne okoliczności jego zniknięcia. Camille odpowiedziała im również na bardziej osobiste pytania. Nie, nie pokłócili się ostatnio z Raphaëlem i nie było żadnego szczególnego powodu, który mógłby skłonić mojego brata, żeby nie wracać na noc do domu.

Fakt, że Raphaël miał duże doświadczenie w wędrówkach po górach, zaniepokoił żandarmów: kiedy przewodnik nie daje znaku życia, nie oznacza to, że zgubił się gdzieś w górach, ale że przydarzyło mu się coś znacznie bardziej poważnego.

Nazajutrz rozpoczęto poszukiwania. Patrol żandarmerii z pokładu helikoptera sprawdził miejsca, gdzie mógł zaginąć mój brat. Niestety, poszukiwania z powietrza nie przyniosły żadnego rezultatu. Dla nas cały ten dzień mógł upłynąć na niekończącym się czekaniu. Jednak Camille nie znosiła bezczynności. Przekonała kilku znajomych, żeby wyruszyli pieszo i zbadali szlaki, którymi mógł iść Raphaël. Ja również przyłączyłem się do tej ekspedycji.

Frédéric, wspólnik mojego brata, razem ze znajomym przewodnikiem górskim skierowali się w stronę płaskowyżu Lisey. Camille i ja zdecydowaliśmy się pójść drogą prowadzącą do schroniska w Ilhéou znajdującego się nad jeziorem leżącym najbliżej Cauterets. Dwaj inni górale udali się w stronę Fruitière oddalonego od naszego miasteczka o niecałą godzinę drogi szybkim marszem. Wreszcie, kolejny przyjaciel, którego znałem od wielu lat, wyruszył drogą wodospadów w stronę mostu Hiszpańskiego.

Żadnemu z nas nie udało się go odnaleźć. Nigdzie ani śladu Raphaëla. Ten drugi wieczór, kiedy ogarnął nas paniczny lęk, był, rzecz jasna, znacznie gorszy niż poprzedni. Spaliśmy bardzo krótko.

Następnego dnia postanowiłem zostać w sklepie i otworzyć go tak jak zwykle. Nie brakowało mi wcale chęci, by towarzyszyć innym, ale kilka miesięcy wcześniej nadwerżyłem kolano podczas wspinaczki i ta paskudna kontuzja dawała mi się we znaki przy każdym gwałtownym lub długotrwałym wysiłku. Poprzedniego dnia trochę przesadziłem, a teraz odczuwałem tego skutki.

Jednak około jedenastej, jak wspomniałem, Camille zjawiła się w sklepie i potwierdziła wiadomość, z którą z tak wielkim trudem próbowałem się oswoić.

\*

Tego samego ranka pewna rodzina z Bordeaux, która spędzała wakacje w Cauterets, wyruszyła drogą w kierunku Pauze, po czym zastanawiała się, czy iść dalej aż do Reine Hortense, pozostałości gospodarstwa, w którym kiedyś przebywała matka Napoleona III.

– No nie, skoro już wspięliśmy się aż tutaj, chodźmy raczej drogą na przełęcz Lisey.

Małżeństwo z dwunastoletnim dzieckiem szło przez ponad półtorej godziny, pokonując w szybkim tempie odległości między dębami i wiązami, które rosły na zboczu góry. Przeszli długą drogą pełną kamieni, które nagromadziły się wskutek czystych osuwisk. Na koniec dotarli wreszcie do Turon des Oules, górującego nad całą skalistą doliną.

Para przybyła z Bordeaux nie mogła jednak zbyt długo

cieszyć się niezwykłą panoramą, jaka się przed nimi rozpościła. Ich syn, skacząc po głazach i biegając między drzewami, natknął się na półnagie ciało mężczyzny leżące na ziemi wśród skał.

A nie był to przyjemny widok.

Mojemu bratu skrępowano dłonie i stopy kajdankami tekstylnymi, jakich używa policja lub wojsko. Paski wżynały mu się głęboko w skórę. Jego ciało nosiło liczne oznaki tortur. Lekarz sądowy, którego ściągnięto, stwierdził w wielu miejscach wybroczyny spowodowane wielokrotnymi ciosami pięścią i uderzeniami tępym narzędziem. Głębokie rozcięcia skóry, najprawdopodobniej przy użyciu noża myśliwskiego, widoczne były na klatce piersiowej i ramionach. Kilka żeber, a także prawa kość ramieniowa były połamane. Widoczne też były liczne ślady duszenia, tak jakby znęcano się nad nim, zadając mu cierpienie, jednocześnie starając się nie spowodować zbyt szybkiej śmierci. Ze względu na sinicę twarzy i wybroczyny krwotoczne lekarz sądowy uznał, że powodem śmierci było niedotlenienie. Tak więc podstawową przyczyną zgonu stało się uduszenie.

Raphaël był mężczyzną wysportowanym i silnym, w znakomitej formie fizycznej. To oczywiste, że bronił się zaciekle przed napastnikiem, chociaż ten drugi musiał szybko go obezwładnić. Dzięki temu mógł długo go torturować i zadawać wszelkie możliwe potworne cierpienia, których ślady nosiło teraz jego ciało. Dziwne jednak, że napadnięto na mężczyznę tak dobrze zbudowanego i silnego, jak Raphaël. Ten właśnie szczegół, który dręczył mnie od samego początku, świadczył moim zdaniem o tym, że mojego brata nie wybrano przypadkowo. Z pewnością nie była to zbrodnia popełniona przez

psychopatę, najwyraźniej chodziło o Raphaëla i to właśnie na niego polowano. Zresztą, być może, nie była to wcale zwykła zemsta, bo najprawdopodobniej chciano go również zmusić do mówienia.

Ciało mojego brata przewieziono do instytutu medycyny sądowej wkrótce po odnalezieniu zwłok, musieliśmy więc czekać na postępy śledztwa. Już teraz jednak dowiedzieliśmy się tego, co najistotniejsze: Raphaël zmarł w wyniku tortur, a za jego śmiercią kryła się jakaś tajemnica, o której my nie mieliśmy zielonego pojęcia.

Prokuratura w Tarbes wszczęła oficjalne śledztwo w sprawie zabójstwa.

Gdy ciało zostało zidentyfikowane, żandarmi przesłuchiwali nas przez ponad godzinę. Odpowiadałem automatycznie na ich pytania, chociaż wiedziałem dobrze, że pierwsze godziny śledztwa są zazwyczaj decydujące i że mogłem, być może nieświadomie, dostarczyć im ważnych informacji.

Od samego początku jednak prowadzący je policjanci okazywali raczej sceptycyzm co do wykrycia sprawcy. W przeciwieństwie do panującej powszechnie opinii, w przypadku tego rodzaju spraw – morderstw z użyciem tortur – dowody rzeczowe, takie jak odciski palców albo ślady genetyczne, są nadzwyczaj rzadkie. Jeśli nawet nadają się do wykorzystania, pozwalają w najlepszym razie wyjaśnić co dziesiątą sprawę, a i to jeszcze przy założeniu, że uda się wcześniej zidentyfikować osoby podejrzane. Z drugiej zaś strony, wszystko wskazywało na to, przynajmniej na razie, że mój brat zginął w wyniku jakichś porachunków, prawdziwej zmory dla policjantów i żandarmów, gdyż poziom wykrywalności sprawców tego rodzaju przestępstw należy do najniższych. Można jeszcze było



liczyć, choć to mało prawdopodobne, na zeznania naocznych świadków, aby dowiedzieć się, kto szedł za Raphaëlem w czasie jego wędrówki w górach.

Tak więc największe nadzieje na rozwikłanie tej sprawy wiązały się ze „sferą społeczną i towarzyską”. Żandarmi chcieli możliwie jak najlepiej poznać ofiarę i jej otoczenie, mieli w tym celu wypytywać sąsiadów, znajomych z pracy, a wszystko po to, aby spróbować zrozumieć, kto mógł mieć powody do zemsty i dlaczego. A interesując się bliżej przeszłością Raphaëla, z pewnością nie będą rozczarowani.

Mój brat nie był aniołem, przy czym mówię to z pewnym rozczuleniem. Po co bowiem miałbym oszukiwać sam siebie? Nie jestem z gatunku tych, którzy wygłaszają peany na cześć innych ludzi z tego tylko powodu, że osoby te już nie żyją. Śmierć wcale nie czyni nas lepszymi. Mój brat prowadził, nazwijmy to – cokolwiek chaotyczną – egzystencję. Był zamieszany w kilka afer przemytniczych i miał parę razy do czynienia z wymiarem sprawiedliwości. Nie było to może nic bardzo poważnego, ale też i nie całkiem błahe. Już w czasach szkolnych nie należał do tych, którym można bezkarnie nadepnąć na odcisk, i zdarzało mu się wdawać w bójki. Według mnie sam szukał wręcz okazji, żeby napytać sobie biedy.

Kiedy miał czternaście lat, po raz pierwszy był przesłuchiwany przez policję po tym, jak uczestniczył w zbiorowej bijatyce, która skończyła się źle. Jakiś nastolatek został lekko zraniony nożem, za co Raphaëla skazano na prace społeczne. Ponieważ był wówczas nieletni, wyrok uległ zatarciu, lecz potem, w latach, gdy dorastał, doszło do szeregu innych drobnych incydentów z jego udziałem. Pamiętam także – jakże mógłbym zapomnieć? – tę żałosną ucieczkę z domu po kłótni

z rodzicami. Nie zniknął wtedy na długo, policja znalazła go przypadkowo, wałęsającego się po ulicach w środku nocy. Nie miał jeszcze piętnastu lat. Kiedy już dorósł, sprawy przybrały gorszy obrót. Wdał się w jakiś szwindel, ogólnie rzecz biorąc, żenująca sprawa, a poza tym zaliczył jeszcze dilerską wpadkę. Potem jednak wreszcie się ustatkował. Tak przynajmniej mi się wydawało, chociaż teraz jego śmierć wzbudziła we mnie jakże uzasadnione wątpliwości.

\*

– Kto mógł zrobić coś podobnego? – wyszeptała Camille, tak jakby mówiła do siebie.

Dokładnie to samo pytanie dręczyło mnie od chwili, gdy znaleziono jego ciało. Jeśliby Raphaël zginął w zwykłym wypadku w górach, a każdego roku zdarza się takich kilkadziesiąt, można by zrzucić winę na przeznaczenie albo na sam nie wiem już jakie zrządzenie boskie, mógłbym sobie wmawiać, że widocznie tak było mu pisane i trzeba jakoś pogodzić się z jego śmiercią... i przychodziłaby mi na myśl cała masa zdań, które mają nam pomóc w „przeżyciu żałoby”, zgodnie z mocno wyświechtaną już formułką.

– Myślisz, że ktoś aż tak bardzo go nienawidził?

– Ale o czym myślisz? Sądzisz, że to jakaś osobista zemsta, jakieś porachunki?

Camille wzruszyła ramionami, żeby pokazać, że nie ma najmniejszego pojęcia.

– Posłuchaj, Vincent, wiem równie dobrze jak ty, jaki był Raphaël. Wszystko mi opowiedział o swojej przeszłości. I wiem dużo o błędach, jakie wtedy popełnił.

Nie wiedziałem, że rozmawiał z nią o swoich problemach